

Bartosz Jastrzębski: Potrzeba nam serca rozumnego

Serce, ów przedziwny organ, musi wchłonąć w siebie to, co najbardziej wartościowe w rozumie: jego roztropność, umiar, trzeźwość, zdolność oceny sytuacji, jego wiedzę i zdolność poznawania oraz kontemplacji rzeczywistości pozazmysłowych – pisze prof. Bartosz Jastrzębski w odpowiedzi na siódmy list Krzysztofa Dorosza.

Przeczytaj list Krzysztofa Dorosza do Bartosza Jastrzębskiego

Rozpocząłeś swój list słowami wielkiego Mistrza Eckharta: „Boga szukaj we wszystkim, bo On jest w każdej rzeczy”. Jakże mi to bliskie! Pamiętam, że zaczytywałem się w jego kazaniach jeszcze jako młody chłopak, bardziej – prawdę mówiąc – skłaniający się ku buddyzmowi, zwłaszcza zenistycznemu, niż ku chrześcijaństwu. A Eckhart był właśnie taki „buddyjski”, taki inny, taki „ponadkonfesyjny”, „niekościelny”, niedewocyjny, wyzwolony od dogmatycznych więzów! Tak przynajmniej wówczas mi się wydawało. Dziś patrzę na jego postać i dzieło oczywiście zupełnie inaczej – choć z nie mniejszą fascynacją, bo też istotnie, był on na pewno jednym z największych mistyków chrześcijańskich. Wówczas jednak nie chciałem zauważać jego „chrześcijańskości”, przeciwnie, wydawało mi się, że właśnie o tyle jest wybitny, o ile ową „ograniczoną” perspektywę przekracza na rzecz nieuchwytniej, bezpostaciowej Transcendencji. Po latach natomiast pojmuję lepiej, że geniusz jego właśnie z chrześcijańskiej gleby wyrasta

i z niej czerpie swe żywotne soki. Mistrz z Kolonii jest nieodrodnym dzieckiem i doskonałym stopem szlachetnej tradycji filozofii neoplatońskiej oraz najczystszej, mistycznego wznoszenia chrześcijańskiej duszy, szukającej ukojenia w Bogu - nie zaś potomkiem Siddharthy, przy całym szacunku i sympatii dla tego ostatniego.

Dlaczego jednak o tym mówię? Dały mi bowiem do myślenia Twe słowa: „Jeżeli Bóg może objawić się jako dzieciątko w nędznej stajence [...] to lepiej przygotujmy się na spotkanie z Nim w każdym miejscu i w każdym człowieku. Porzućmy rozpowszechnione przekonanie, że Boga mamy w czterech ścianach Kościoła; niech myśl o wypuszczeniu Go z tej bezpiecznej przestrzeni nie napawa nas przerażeniem. Boga więc można spotkać wszędzie”. Tak! Bardzo to pięknie i trafnie powiedziałaś. Istotnie wierzymy, że Bóg jest wszystkim we wszystkich, choć Pismo stwierdza (1Kor 15,28), iż ujrzemy to wyraźnie dopiero u końca czasów. Pojawia się tu jednak pewne niebezpieczeństwo, którego nie należy w moim przekonaniu lekceważyć. Otóż to prawda, że Bóg – jako poszukiwany przez nas cel ostateczny wszelkich wysiłków - jest wszędzie, choć równocześnie „w żadnym sposobie”. Prawdą jest także, iż fundamentalną treścią chrześcijańskiego przepowiadania jest wolność dzieci Bożych, niezależnych tak od Prawa, jak i określonych praktyk kultowych czy modlitewnych. Wszak powiada św. Paweł w odniesieniu do przepisów żydowskich: „Ku wolności wyswobodził nas Chrystus. A zatem trwajcie w niej i nie poddawajcie się na nowo pod jarzmo niewoli!” (Ga 5,1). W innym jednak miejscu równocześnie przestrzega: „Wszystko wolno, ale nie wszystko przynosi korzyść. Wszystko wolno, ale nie wszystko buduje”(1Kor 10, 23).

Jesteśmy tedy wolni od „wszelkich sposobów”, bo każdy z nich jest tylko swego rodzaju „drabiną”, prowadzącą nas do Boga i jako taki nie może być absolutyzowany. A jednak ktoś zaprzeczy, że drabiny się przydają? Mało tego, są po prostu konieczne, by dostać się w wysokie miejsca, nie spadając po drodze w przepaść. A najczęściej bywa tak, że bez niej w ogóle nawet nie zaczynamy się wspinać. Innymi słowy, chodzi mi o to, że owa wolność od wszelkiego sposobu, a więc od określonych form modlitwy, od konkretnej pobożności, od zgromadzenia Kościoła, od tradycji, od dogmatów i szczegółów doktryny, od ścisłości teologii i dosłowności wymagań moralnych, może spowodować całkowite rozmycie się przesłania chrześcijańskiego. To nie jest zagrożenie urojone. Joseph Ratzinger jeszcze w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku zwracał uwagę na zjawisko zwane przezeń jezuanizmem. Otóż jego zwolennicy głosili, że Jezus wszystkich kocha, wszystkim wszystko wybaczy, jest wszędzie – a zwłaszcza poza kościołami, poza sakramentami i poza obrzędami – i niczego właściwie nie wymaga, bo tak nas kocha, że wymagać wręcz nie może. Więc możemy usiąść na zielonej trawce, zapalić jointa i spokojnie czekać na zbawienie, jako że właściwie już jesteśmy w Bogu. I choć takie „odloty” bardziej właściwe były dla burzliwego przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, to i dziś przecież podobnych, choć może nie tak radykalnych, przepisów na instant-zbawienie nie brakuje.

*Wierzimy, że Bóg jest
wszystkim we wszystkich*

Z perspektywy czasu
widzimy jednak
wyraźnie błędność
tego rozumienia
nauki naszego

Mistrza. Jezuanizmy, podobnie jak kwietyzmy XVII i XVIII wieku,

szybko rozpuściły się w nicość. Skoro bowiem nie ma form, nie ma drogowskazów, nie ma określonych praktyk, wymagań ani wyraźnych artykułów wiary, to wszystko wolno, a jeśli wszystko wolno, szybko – bardzo szybko – okazuje się, że nic nie warto i obojętne co robimy lub czego zaniechamy. Podobny los spotkał także niektóre odłamy liberalnego protestantyzmu – po prostu roztopiły się w świecie, pozostały po nich jeno ziejące pustką zbory, w których w najlepszym razie urządza się czasem okolicznościowe wystawy i koncerty. Chciały się owe odłamy uwolnić od ograniczeń narzucanych przez wymogi konkretnych, historycznych konfesji, a tymczasem zamieniły po prostu ograniczenia świętej religii na obostrzenia i wymogi nieświętego świata ze skutkiem śmiertelnym. Tymczasem wiara potrzebuje manifestować się w zmysłowym świecie – tak jak myśl pragnie wcielać się w słyszalne słowo, choć to przecież nie sam dźwięk stanowi o jego znaczeniu i nie można mylić znaczenia z dźwiękiem. Owa dążność wiary do zmysłowego wyrażania się jest źródłem zarówno sztuki sakralnej, jak i form obrzędowości oraz duchowości. I trzeba to uszanować – choć nie absolutyzować.

Innym niebezpieczeństwem, obok owego pochłonięcia wiary przez świat, jest synkretyzm. Skoro „sposoby” są niczym – a równocześnie mało kto dociera do takich poziomów duchowości, by, jak Eckhart, obywać się całkiem bez nich – to możemy łączyć je dowolnie i zestawiać wedle uznania. W efekcie, znów na wierzch wypływa podstępne ego, ustawiające wszystko „pod siebie” – żeby było miło, wygodnie, efektownie i najlepiej bezwysiłkowo. To również znamy, owo gnostycko-new ageowe pomieszanie z poplątaniem. Nie sądzę, aby co dobrego z tego wynikało. Synkretyzm bowiem to coś jakby skręcanie mebla z kilku różnych zestawów: może się i coś w końcu skleci, ale ani to trwałe, ani piękne, ani choćby użyteczne. I z pewnością rozpadnie się przy większym nacisku.

Myślę przeto, iż istotą chrześcijaństwa jest właśnie owo napięcie pomiędzy formą, a jej przekraczaniem. Tego napięcia nie należy znosić – przez usuwanie któregoś z jego biegunów - ale trzeba w nim trwać. Jest ono „niewygodne”, ale „winduje” nas w górę. Wytwarza niezbędną do duchowego rozwoju energię, wyzwala potężne sprzeczności, które krzyżują wręcz nieprzebudzoną, ospałą egzystencję, by spod niej wychynęła owa głęboka, przemieniona świadomość. Chrześcijanin musi cierpieć rozdarcie i niemoc, niezdolność do sprostania wymogom swej wiary, by pojąć konieczność Bożej interwencji – łaski. Jeśli porzucić będziemy określone formy i sposoby przeżywania wiary oraz chrześcijańskiego życia, wyeliminujemy w ten sposób straszliwe przemaganie między światem a Bogiem. Przez moment może poczujemy spokój – ale nie będzie to Boży spokój. Nie możemy tak po prostu zadomowić się i dobrze się poczuć w świecie. „Jeżeli was świat nienawidzi, wiedzcie, że Mnie pierwej znienawidził. Gdybyście byli ze świata, świat by was kochał jako swoją własność. Ale ponieważ nie jesteście ze świata, bo Ja was wybrałem sobie ze świata, dlatego was świat nienawidzi” (J 15,18-19).

*Wiara potrzebuje
manifestować się w
zmysłowym świecie*

Musimy tedy pamiętać, że owe sposoby nie po to powstały, by nas niewolić i dręczyć, ale by nam ułatwiać

poruszanie się w niezmiernych – i nie zawsze przecież bezpiecznych – otchłaniach duchowego świata. Tradycja kształtuje się setki i tysiące lat, a jej cegiełkami są doświadczenia duchowych mocarzy, którzy na religijnej drodze zaszli bardzo daleko, zapewne znacznie dalej niż nam kiedykolwiek będzie dane. Nie traktujmy przeto Kościoła jako wroga, a

duchowych „sposobów” jako kajdan. Kościół jest arką, a owe sposoby mapami na nieznanym wodach albo też swoistymi „instrukcjami bezpieczeństwa” – tak przynajmniej powinno być. Oczywiście zawsze istnieje zagrożenie formalizmem, skostnieniem, nadmiernym przywiązaniem do konkretnych aktów i czynności, które zaczynają przesłaniać to, czego są znakami. Jest ów błąd faryzejski, wielokrotnie piętnowany przez Zbawiciela. Ale nie wylewajmy dziecka z kąpielą! Na duchowej drodze czai się wiele złych sił, jeży się wiele raf, sroży mnóstwo demonicznych niebezpieczeństw. Niejeden oszalał spoglądając w otchłanie duchowego świata. Tradycja zaś mądrze poucza jak unikać zagrożeń i wytrwać na wąskiej ścieżce wiodącej do życia wiecznego.

Oczywiście wiem, że – gdy pisałeś o odnajdywaniu Boga w tkance codzienności i dołnego świata – nie chodziło ci ani o kwietyzm ani o „plastikowy” synkretyzm ani też o rozplątanie w płytkich samozadowoleniach wewnątrzświatowości. Ale takie refleksje mi się tu nasunęły i wydaje się, że przywołane przeze mnie obawy nie są całkiem bezpodstawne: istnieje realne niebezpieczeństwo, iż odrzuciwszy wszelkie „sposoby” będziemy poruszać się całkiem po omacku niczym wędrowcy bez mapy, w gęstej mgłę. Musisz przyznać, że nader łatwo w tych kwestiach błędne rozumienie wolności chrześcijańskiej i immanencji Boga.

Te zastrzeżenia nie zmieniają rzecz jasna faktu, że na głębszym poziomie Bóg jest wszędzie i we wszystkim, że każda rzecz istniejąca jako taka właśnie – nosi na sobie Jego niezbywalny ślad. Dokładnie tak jak nauczał Eckhart. Właśnie wróciłem z Włoch. Pobyt w Italii każdorazowo napęła mnie szczególnym, podniosłym nastrojem. Myśl, iż Bóg przemawia do nas przez zmysłowe kształty stworzenia nigdzie

nie wydaje mi się tak bliska, tak niepowątpiewalna jak tam właśnie. Kolory, kształty, smaki i wonie zdają się pełne Boga niemal do punktu rosy. Piękno świata stworzonego – ale także dzieł ludzkich umysłów i rąk – wciąż wydaje mi się jednym z najbardziej sugestywnych argumentów na rzecz istnienia Boga. W Italii w sposób niemal doskonały, eschatologiczny, rozmywa się granica między naturą a kulturą. Ludzkie dzieła doskonale wpisują się w pejzaż, a pejzaż uwzniośla człowieka pracą. Winnica, Zamek, Świątynia, Jezioro, Las, Góra zdają się dziełem jednego Artysty. Jestem głęboko przekonany, że wszystko to są symbole, przedziwne analogie Boskiego świata. To właśnie Włochy stanowią najskuteczniejszą refutację gnostycyzmu, to one nauczyły mnie, że zarówno wiara, jak i Bóstwo pragną się wyrażać w konkretnych zmysłowych postaciach. Dotyczy to nie tylko sakramentów i obrzędów, lecz także sztuki, muzyki, rzeźby, architektury – wszystko to oczywiście jedynie w wariacie przedmodernistycznym, bo modernizm jest chorobą samą, apostazją i ateizmem, w gruncie rzeczy albo czystą negacją albo prostym funkcjonalizmem... Jednak dawni mistrzowie słusznie wierzyli, że przez sztukę „ściągamy” niejako Boskie piękno w świat, równocześnie podnosząc świat ku jego Stwórcy.

Co do zaś serca: jest taki fragment w Pierwszej Księdze Królewskiej, w którym Bóg pyta Salomona, jaki dar chciałby otrzymać u początków swego królowania. Ten zaś odpowiada:

Racz więc dać Twemu słudze serce rozumne do sądenia Twego ludu i rozróżniania dobra od zła, (1Krl 3,9)

Myślę, że tu docieramy do sedna – potrzeba nam serca rozumnego. Serce, ów przedziwny organ - jeśli nie chce stać się jeno siedliskiem łązawych sentymentów - musi wchłonąć w siebie to, co najbardziej wartościowe w rozumie: jego roztropność, umiar, trzeźwość, zdolność oceny sytuacji, jego wiedzę i zdolność poznawania oraz kontemplacji rzeczywistości pozazmysłowych. Odrzucić natomiast winno te jego cechy, które są skutkiem upadku: pychę, samowolę, chęć emancypacji od wszystkiego i wszystkich oraz pęd ku destrukcji tego, co nie jest nim samym. Słowem – jego winę główną stanowi samoubóstwienie i od niego serce musi uwolnić rozum.

Z biegiem czasu coraz częściej przyłapuję się na myśleniu, by tak rzec, koniunktywnym raczej niż alternatywnym. Gdy pytasz: „sposoby” czy czystość religijnego przeżycia odpowiadam przeto: czystość przeżycia, do którego doprowadzą nas sposoby. Gdy pytasz serce czy rozum, odpowiadam za Salomonem – serce, ale rozumne. Takie też jest podejście katolickie. Przez lata irytował mnie ten umiar i poszukiwanie Arystotelesowskiego, rzekomo „złotego” środka; widziałem w nich swoistą „miętkość” czy nawet jakąś postać oportunistu, niedopuszczalnego godzenia się ze światem i ludzkimi słabościami. Dziś jednak zaczynam dostrzegać w owej koniunktywności czy „inkluzywności” głęboką duchową mądrość, wypływającą z rozległego doświadczenia oraz znajomości natury ludzkiej, której nie można okrajać, by otrzymać prostszy i bardziej elegancki schemat antropologiczny. Trzeba ją brać w pełnej napięć i sprzeczności całości. Jednak to nie oportunizm, to realizm.

*W Italii w sposób doskonały
rozmywa się granica między
naturą a kulturą*

Krzysztofie, w
Twoim liście
szczególnie
poruszyły mnie
również te słowa:
„Boga więc można

spotkać wszędzie. W akcie wybaczenia, w śmierci bliskiej osoby, w narodzinach, w chorobie, w przeżyciu piękna czy prawdy”. Spotkać Boga w chorobie, w śmierci, w cierpieniu – ależ to trudne! Przecież choroby, cierpienia i śmierć – zwłaszcza śmierć niewinnych dzieci – najczęściej przytaczane są jako koronne argumenty, czy wręcz dowody na nieistnienie Boga. Boga albo nie ma, powiada się, albo nie jest dobry, albo nie jest wszechmocny – takie nasuwają się wnioski w obliczu zła, wszystkie sprzeczne z wiarą chrześcijańską. Siedząc w swej zatopionej w lasach pustelni korespondowałem w ostatnich dniach ze moim Tatą i poruszaliśmy ten problem kilkukrotnie. Napisał on między innymi: „Nikt nie kwestionuje oczywistości i naturalności istnienia dobra i piękna skoro Bóg jest dobry i pięknem nas obdarza. Ale dlaczego mały chłopiec o kulach, z jedną nogą i rozsianym po całym ciele rakiem kości kopie z zapalem piłeczkę, którą podrzuca mu mama?”. Otóż właśnie: niełatwo zbyć teologicznymi ogólnikami istnienie i straszliwą realność takiego niezawinionego zła. Jak widzisz, poruszyliśmy trudny i niewdzięczny temat szeroko rozumianej teodycei – Ciebie również chciałbym zaprosić do tej dyskusji. Czy możesz powiedzieć, że poradziłeś sobie emocjonalnie i intelektualnie z problemem obecności zła w świecie stworzonym przez dobrego Boga? Czy byłbyś gotów przedstawić matce owego chłopca – i milionom innych w podobnej sytuacji – jakąś przekonującą teodycę? Czy raczej winniśmy uznać, że odpowiedź na pytanie unde malum? leży poza granicami naszego pojmowania, podobnie jak wiele innych twierdzeń teologicznych, i

należy zaniechać stawiania tej kwestii? A może pójść trzeba tropem Augustyna, wedle którego „całe dobro od Boga, całe zło od człowieka”, co oznacza że zło jest wynikiem jedynie ludzkiego grzechu? Co sądzisz?

Pozdrawiam najserdeczniej,

Bartosz

Przeczytaj list Krzysztofa Dorosza do Bartosza Jastrzębskiego

I część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: Europejczyk stał się istotą duchowo zamkniętą

Bartosz Jastrzębski: Żądania tolerancji i świeckości mogą stać się tyranią tolerancji i ateizmu

II część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: Sobór Trydencki powinien przyjąć dobre owoce Reformacji

Bartosz Jastrzębski: Protestantyzm wyniósł porządek świecki nad boski

III część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: Poszukując Boga w ciemności i niewiedzy

Bartosz Jastrzębski: Religia, która nie tworzy sztuki nie jest prawdziwa

IV część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: Gdzie iść po śmierci?

Bartosz Jastrzębski: Chrześcijaństwo całkowicie przenika duszę

V część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: O duchowej intuicji

Bartosz Jastrzębski: Bądźmy roztropni niczym węże

VI część korespondencji

Krzysztof Dorosz: Serce — najgłębsza istota człowieczeństwa

Bartosz Jastrzębski: Wewnętrzna przestrzeń spotkania z
Transcendencją